Cena N-ru 8 Mkp.

ROK 52. KRAKÓW, DNIA 7. LISTOPADA 1920. Nr. 33

DJABEŁ

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 8 Mkp.

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przes. poczt.:
całorocznie . . . . . 300 Mk
półrocznie . . . . . 150 „
kwartalnie . . . . 75 „
Cena egzemplarza 8 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

ILUSTRACJA DO POŁOŻENIA POLSKI.



Biedna krowa, chociaż chuda, chociaż ledwo żywie,
Każdy sobie jeździ na niej, każdy ją ssie chciwie.
Żyd i socjał, chłop, urzędnik do jej wymion pcha się
Każda panna biegła w piśmie jej mlekiem się pasie.
Smętna patrzy na swe „dziatki“ co jej życzą nieba,
Ale żadne z nich nie myśli, że i jej jeść trzeba.

OD WYDAWNICTWA. Z powodu olbrzymiego podniesienia kosztów druku i papieru podwyższamy prenumeratę i cenę pojedyńczych numerów. *Wydawnictwo Djabła.*



WICEK SOCJALIK.

A no, mieliśmy psiokrew „nowe święto narodowe", jak pedział w odyzwie pan prezydent, które ci bedzie przechodziło z „pokolenia w pokolenie".

Brołem ci i jo udział w onym psiokrew świncie, jako jeden z morowych psiokrew bohatyrów 31 października. W onym dniu przed dwoma laty nosiułem ci drabinę po rynku, coby psiokrew zdzirać szyldy z dwugłowym czornym ptakiem austrjackim. Jak którygo nie mógem oderwać, to ci mu urwołem psiokrew makuwy, abo ci go smołą zasmaruwałem.

Ale nie na tym beł koniec moigo psiokrew bohatyrstwa. Potkałem na Florjańskiej jednygo lajtnanta. „Panie ładny (rzekem do niego), spuść pan tego bączka". A on pojrzał na mie i pedział: „Ik fersztéje nikt". — „A no (rzekem), jak nie ferstujesz, to se sam zrobię z tobą porzundek" — chyciłem go za kaniołę i zerwałem bączka. Lajtnant dał dymę, a naród sie śmioł i krzyczoł psiokrew: wiwat Wicek!

Takie ci beły moje czyny bohatyrskie, które przejndą z pokolinia w pokolinie.

Ale widzi mi sie, co one pokolenia nie bedom takie głupie i najdą se psiokrew jenszy dzień do świncenia. Bo chocia pan maliarz Tytmajer pedział, co dziń 31 października jezd tak pikny, jak dziń 24 marca, kiedy to Kościuszko przysingał na rynku, to mnie sie widzi, co to jezd psiokrew, z przeproszyniem pana maliarza, austrjackie gadanie. Kapuję to klawo, co naród polski bedzie obchodzący swoje oswobodzynie, ale na to jenszy dziń bedzie wyznaczający, a nie tyn, w którym ci w Krakowie zmieniono wartę na odwachu i zdzirano austryjackiego ptaka. Nie pedam już o 5 listopada 1916 roku, kiedy psiokrew Niemcy w Warszawie ogłosili niezależnom Polske, bo choć to beło jej pirsze ogłoszynie, ale kużdy jezd wiedzący, co pludry ze swoim Wilusiem i Franusiem beleby zrobili takom Polske, z którejby nie beło lo narodu żadnyj frajdy, żadnygo prefitu. Bełaby to psiokrew obelgancja, boby te skisie zrobiły jakąś mikrną Polskę, w którejby sufragany gospodarowały jakby chciały. Ale kiedy jeim Francuzy z Janglikami i Amerykanami sprawili morowe lanie, a pan Wilson pedział co bedzie Polska, to 7 października 1918 Rejenty warsiawskie ogłosiły wolnom niepodległom i niezależnom Polskę. W kilka dni później polskie wojsko zaprzysingło polskiemu rządowi. Zara ci psiokrew Austryjaki ustąpiły ci z granicy między Królestwem i Galicją i pedzieli, co sie wynoszom furt z Królestwa i Galicji. Posły polskie we Widniu oświadczyły w delikacji austryjackiej, co są już poddanymi państwa polskiego. Potym wszystkie posły galicyjskie zjechały do Krakowa i uchwaliły 28-go października polską komisyję lekwidacyjną, która ci mioła przejąć rządy od Austryjaków i prowadziła ci z nimi narady, jak to i kiedy ma być zrobione. Prusaki tyż sie zaczeny wynosić, a ino se na pamiontkę kradły psiokrew co sie dało.

Polska więc już beła i ino głupiemu gadać, co ci jom dopiro zrobiono 31 października, bez to, co jo w Krakowie knajałem z drabiną i poluwałem psiokrew na bączki lajtnanckie.

Więc przeproszom psiokrew piknie pana prezydenta i pana Tytmajera, ale oba cwaj puskają ćmoje z onem świętem narodowem, z onem zrobieniem Polski przez Kraków. Ja se ino tem jeich tłumaczę, co chcieni pokazać jako prowdę peda przysłowie, co gdzie konia kują, tam zaba nogi nadstawia. A drugie przysłowie psiokrew peda, co kużda liszka swój ogon chwali, tak i oni chcieli pochwalić swoje krakowskie ogony.

DEZENTERJA.

Żołnierzom na froncie zastrzykuje lekarz surowicę.

— Panie doktór — pyta się Jojne — na co pan to potrzebuje robicz?

— To jest przeciw dezenterji.

— Panie doktór, melduję posłusznie, co to dla mnie całkiem niepotrzebne. Ja tyle czasu nie dezertowałem, to i teraz nie ucieknę.

LEPSZY OBWARZANEK.

Głodni żołnierze weszli do miasteczka. Więc rozbiegli się zaraz szukać zaspokojenia głodu. Maciek Kapusta kupił dwie bułki i zjadł. Ale głód

nie ustępował. Kupił trzecią — toż samo. Zobaczył wreszcie obwarzanki, kupił dwa, zjadł i głód przestał mu dokuczać.

— Aj, jaki ja głupi — pomyślał z żalem — tylem pieniędzy wydał na bułki. Nie było to odrazu kupić obwarzanków?

POLITYCZNA .. MIKSTURA.

W sejmie naszym codzień nowa jakaś awantura:
Naprzód brzydkim omówieniom podległa cenzura,
Potem znowu o Dąbali wieść idzie ponura.
Że sejm wydał go sądowi i grozi mu dziura.
Więc na różnych Dąbalątkach djablo cierpnie
skóra,
Nawet księdzu Okoniowi mocno zmiękła rura.
Mimo strajków nic lewica z senatem nie wskóra
I nie będzie rządził krajem parobek i ciura.
Jeszcze innych smutnych wieści dochodzi nas fura.
Pod któremi piszczeć będą postęp i kultura.
Ale dość dziś będzie zgrzytów djabelskiego pióra.
Więc kończymy, krzycząc: Sejmie, niech cię
dzióbnie kura!

NOWI PROFESOROWIE.

Spotkałem się wczoraj w Esplanadzie z moim znajomym, który nagle zerwał się od stolika i złożył głęboki ukłon wchodzącemu członkowi cechu fryzjerskiego.

— Skądże taka czołobitność? — zapytałem.

Na to otrzymałem odpowiedź:

— Mam wrodzony szacunek dla ludzi nauki...

— Nauki?

— Tak jest, ten pan bowiem został profesorem wiedzy fryzjerskiej przy Muzeum Przemysłowem.

Mój znajomy nie mylił się. Muzeum przemysłowe nie ma nic lepszego do roboty, jak zakładać akademję fryzjerską. Jest to poważny... przemysł. Odbudowujące się nasze państwo potrzebuje przedewszystkiem fryzjerów.

Lada chwila ukażą się szyldy w tym rodzaju: „Zakład wyższego fryzjerstwa pod dyrekcją Agapita Golimordy, profesora Muzeum Przemysłowego“, albo: „Tu strzygą i golą profesorowie Akademji fryzjerskiej“, albo „Konserwatorjum fryzjerskie dla pań i panów“, albo: „Oddział praktyczny Capillotonderologji i Rasirofaciologji“.

Oczywiście w zakładach tych honorarjum za golenie wynosić będzie 50 marek, a za strzyżenie marek 100.

KTO ODGADNIE?

Jeśliby w „Ill. Kurjerze Codz.“ znalazło się ogłoszenie tej treści:

„Młoda, przystojna, bogata i inteligentna kobieta pragnie zawiązać korespondencję ze znakomitym działaczem społecznym, zamieszkałym w Krakowie“ — pytanie: Ile kilo ważyłyby nadesłane jej listy?

Nagrody miljon marek

nie damy, ale dalibyśmy, gdybyśmy ten miljon posiadali, temu

kto zgadnie

w czyich głowach rodzą się idjotyzmy ogłoszeniowe, wierszem i prozą pisane, mające reklamować tak zwaną

Miljonówkę,

a które mogą tylko ją ośmieszyć i do niej zniechęcić.

Drugi miljon

dalibyśmy temu, ktoby obliczył ile setek tysięcy marek wyrzuca się na te ogłoszenia i na **honorarja** wypłacane ich autorom, którzy prawdopodobnie są kaflarzami, organistami, pastuchami, kelnerami, woźnicami, sklepikarzami, czyścicielami obuwia lub t. p. tylko nie literatami, ponieważ żadnego literata o autorstwo takich błazeństw posądzać nie można.

»DOKUMENT KULTURY« KRZYŻACKIEJ.

Jak ongiś w 13-tym i 14-tym wieku wnosili Krzyżacy przed trybunał papieski skargi na Polaków, tak dzisiaj oskarżają Niemcy polski lud górnośląski o rzekome prześladowanie i znęcanie się nad niemiecką ludnością.

Co sądzić o tych oskarżeniach, jak wogóle o ich podjudzającem postępowaniu wobec Polaków, niech świadczą wyjątki z następującego wiersza, który „Fr. Vereinigung zum Schutze Oberschlesiens“ rozdaje między ludzi. Wiersz ten drukujemy jako dokument osławionej „kultury“ prusko-niemieckiej bez komentarzy. Mówi on sam za siebie.

„Die Teufelsbrut, die schmutzigen dreckigen Polen
Euch soll die Hölle, soll der Teufel holen!
Wird Schlesien polnisch, Gott dann lass krepieren
Im Mutterleib die Kinder, gleich den Tieren!

Dann lähme Gott den Polen, Füsse, Hände,
Lass sie verkrüppeln, ihre Augen blende.
Mit Taubheit, Wahnsinn Mann und Weib sie
schlage.

Zu Asche werden lass des Volk in Haufen
Mit Weib und Kind verbrennen und verkaufen.
Lass ihre Saat von unserem Fuss zertreten.
Lass gross und klein mit Wonnelust töten
Las unseren Dolch in ihren Leib uns tauchen,
Lass Polens Land in Blut und Asche rauchen.

Ein deutches Herz. das lässt sich nicht erweichen
Nicht Friede... Hass si zwischen beiden Reichen
[illegible]
Und wenn ich einst zum Todskampf mich rüste
Ruf sterbend ich: Mach Polen, Herr, zur Wüste!

Dosłowne tłómaczenie tych urywków tego ohydnego wiersza, brzmi następująco:

Was brudni, wstrętni Polacy, nasienie djabelskie,
Niech piekło pochłonie, niech djabeł porwie!
Jeśli Górny Śląsk by się miał stać polskim, to
wtedy o Boże
Spraw, by dzieci ich pozdychały, jak zwierzęta
w łonie matek.

Wtedy poraź, Boże, bezwładem ich ręce i nogi,
Zrób z nich kaleki, poraź ich oczy ślepotą.
Tak męża jako kobietę ukarz głupotą i głuchotą.

Spraw, żeby lud polski gromadami całemi zmieniał
się w popiół.
Ażeby z kobietą i z dzieckiem został zniszczony,
sprzedany w niewolę.
Niech nasza noga rozdepcze ich pola zasiane!
Użycz nam nadmiernej rozkoszy mordowania do-
rosłych, jak też i dzieci.
Pozwól zanurzyć nasz miecz w ich ciało.
I spraw, że kraj polski w morzu krwi i zgliszczach
zniszczeje.

Niemieckie serce nie da się zmiękczyć.
Zamiast pokoju, niech wojna zapanuje między
oboma państwami.

A jeśli kiedyś będę się zbroił do walki na śmierć
i życie,
To będę wołał, umierając: Zmień, o Panie, Polskę
w pustynię.

W LONDYNIE.

— Nazwisko pańskie?
— Mojsze Vaternacht.
— Skąd pan pochodzi?
— Z Brodziech.
— Czem się pan trudni?
— Ja... jestem komunista.
— Narodowość?
— Panie inspektor, pan sze nie potrzebuje pitacz tak naiwnie. Jeżeli ja się nazywam Vaternacht, urodziłem się w Brodziech, jestem komunista, to czy ja mogę się zapisać inaczej, jak Polak.

* * *

— Dlaczego córka pańska wychodzi za mąż za pana Jana?
— Bo to, bardzo bogaty człowiek.
— Nigdy o tem nie słyszałem — z czego to pan wnosisz?
— Obiecał jej solennie, że codzień rano będzie miała na śniadanie kawę ze śmietanką i z kostkowym cukrem, oraz trzy bułeczki z masłem — a na coś podobnego tylko prawdziwy bogacz pozwolić sobie dziś może.

DESZCZ WYWOŁANY.

W lecie zaledwie świtało, Władysław Dulski, właściciel wsi Wulka mała, zaledwie służący wszedł do pokoju, zaraz go zapytał, czy na niebie pokazują się chmury i czy jest nadzieja, że deszcz padać będzie? Służący już od tygodni odpowiadał na to pytanie, że na niebie ani chmurki nie widać i z nieba istny żar na ziemię pada. Władysław Dulski był skutkiem tego do rozpaczy doprowadzony, bo brak deszczu od tygodni groził mu zniszczeniem wszystkich plonów. Długi czas nad tem medytował, co robić, aby złemu zapobiedz, ale nic wymyśleć nie zdołał. Słyszał wprawdzie o tem, że strzelanie z armat ku niebu wywołuje gromadzenie się chmur i deszcz, ale ani armat, ani prochu nie posiadał, zaś strzelanie do nieba z dubeltówki, okazało się bezcelowem. Medytując długo, przypomniał sobie, że bardzo często, gdy pojechał do pobliskiego miasteczka w swoim nowym powozie i nowem ubraniu bez płaszcza i parasola, deszcz go w drodze złapał i przemoczony do nitki, do domu powracał. Postanowił więc użyć tego sposobu do wywołania deszczu. Kazał zaprzęgnąć do nowego powozu, przywdział najlepsze ubranie, płaszcza i parasola nie brał i służącemu kazał, aby nie brał ze sobą żadnego okrycia, ale jechał w najlepszem świątecznem ubraniu. Gdy przybył do pobliskiego miasteczka, aczkolwiek nie miał tam nic do załatwienia, chodził bezcelowo po ulicach i bezustannie patrzał w niebo, czy się chmury zbierają. Nareszcie popołudniu ku jego wielkiej radości, zaczęły się na niebie najpierw małe, a potem coraz to większe chmury pojawiać i była uzasadniona nadzieja, że zjawi się deszcz upragniony. Zaraz też kazał furmanowi zaprzęgać i wyruszył w drogę. Nadzieja go nie zawiodła, bo zaledwie z miasteczka wyjechał, zerwała się burza, deszcz lał jak z cebra, przemoczył go i furmana do nitki, a konie szłapały w błocie, co wszystko sprawiało mu radość nie do opisania, bo plony jego zostały uratowane.

Zmierzchało się, gdy dojechali do granic wioski i Władysław Dulski wówczas spostrzegł, że jakoś konie już nie szłapią po błocie, że deszcz nie pada, a nawet odczuwał wznoszenie się kurzu. Rozglądając się, spostrzegł idącego ekonoma i zapytał: Cóż był tu deszcz? Na to ekonom odpowiedział: Burza przeszła bokiem i u nas ani kropelka deszczu nie spadła.

Dulski, boleśnie rozczarowany, zmoczony do nitki, wrócił do domu, klął i przysiągł sobie, że już nigdy w ten podstępny sposób deszczu wywoływać nie będzie i do miasteczka bez płaszcza i parasola się nie wybierze.

T. S. K.

MILJON MAREK.

Ja, mając mądrą główkę,
Kupiłem premijówkę —
Miljon moim będzie,
W bogaczy stanę rzędzie:
Dotąd z braku pieniędzy,
Musiałem żyć wciąż w nędzy:
Jadałem upieczone
Ziemniaki nie maszczone.
Dziurawe miałem buty —
Chodziłem wciąż, jak struty,
A spodnie połatane,
Wiatrem były miotane.
Kapelusz miałem taki,
Jakim się straszy ptaki.
Dziurawe rękawiczki;
Krawatki, jakby stryczki,
A w kiszkach ciągłe granie,
Jakgdyby na organie.
Byłem wciąż słaby, chory,
Z wyglądem chudej zmory.
Mój brzuch, niegdyś wspaniały,
Gdzieś się ulotnił cały!
Teraz się wszytko zmieni —
Pieniądz będzie w kieszeni.
Nastaną dobre czasy:
Jeść będę wciąż kiełbasy,
Kiszki i salcesony —
Kawior niesolony —
Torciki z pomadkami —
Pić kawę konewkami.
Butów kupię trzy pary —
I paltot niezbyt stary,
Koszule kolorowe —
Do nosa chustki nowe,
A nosa obcieranie
Palcami już ustanie:
Raz, odkąd jeszcze żyję,
Porządnie się upiję —
Spijać będę likiery,
Szampany i madery!
Gdy jednak los zdradliwy,
Nie chcac bym był szczęśliwy,
Nie da mi miljona,
Rzecz będzie źle skończona,
Bo z miljona braku,
Powieszę się na haku!
A więc kochany losie,
Pamiętaj o mym trzosie!

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Do tyjatru z przyjemnoszczą
Ja dawniej sobie chodziłem,
Lecz teraz z wielką przykrością
To chodzenie zarzuciłem.
Dawniej to publika była
W tyiatrze z inteligentów,
Lecz dziś bardzo sze zmieniła,
Una z minder elementów!
Jakieś bardzo zakazane
Postacie w tiatrze siedzą —
Czekawie poubierane —
W antraktach kiełbasę jedzą.
Na porządek nie zważają —
I na kuždą plują stronę —
O fotele obcierają
Nos, gdy są zakatarzone!
Ja po kuždem przedstawieniu
Byłem strasznie rozdrażniony,
Bo ku mojemu strapieniu
Przez wszy byłem obleziony!
Trudno, kuždy to pojmuje,
Bawicz sze w tiatrze przecie,
Kiedy komu spaceruje
Wesz po głowie, albo grzbiecie!

SZNYCEL WIEDEŃSKI.

W kuchni restauracyjnej pociągu pospiesznego, dążącego ze Lwowa do Krakowa, kucharz i kelner prowadzili ożywioną rozmowę nad wspaniałym sznyclem wiedeńskim, a apetyt ich, zjeść ten sznycel, wzrastał co chwila. Po dłuższym namyśle postanowili, podzielić sznycel na dwie części, jedną zjeść a drugą jako normalną porcję dać gościowi, który sznycla zażąda. Tak się też stało; ale po zjedzeniu jednej połówki, nie mogli się oprzeć pokusie, pozostałą połówkę znów na dwie części podzielili i zjedli. Z wspaniałego sznycla pozostał tylko jakiś fragment, który przy bardzo bujnej immaginacji mógł przypominać normalną porcję sznycla. Uradzili zatem, aby wobec tego, że panie zazwyczaj mało jedzą, jak skoro jaka zjawi się w wagonie restauracyjnym, nakłonić ją do zamówienia sznycla, bo dla niej pozostały fragment sznycla będzie wystarczającym.

Na jednej stacji około wieczora wsiadła do pociągu młoda, przystojna pani i udała się do wagonu restauracyjnego, celem spożycia kolacji. Usłużny kelner wymownemi słowy wychwalał jej zalety sznycla, spoczywającego w kuchni i do tego nakłonił, że sznycel zamówiła. Gdy kelner po jakimś czasie przyniósł na półmisku sznycel usmażony, pod kilku płatkami cytryn zaledwie można go było dojrzeć. Pani, spojrzawszy na półmisek, zapytała: „Gdzież jest sznycel, bo ja widzę tylko płatki z cytryny? Sznycla zupełnie nic widać?“ — Kelner zaklinał się na wszystkie świętości, że sznycel posiada normalną wielkość i że na całym świecie we wagonach restauracyjnych sznycli większych rozmiarów nie podają. Na to pani śmiałym ruchem ręki pochwyciła sznycel palcami, wrzuciła przez otwór do skrzynki zażaleń, a potem rzekła: „Teraz do tego sznycla napiszę objaśnienie dla dyrekcji i również do skrzynki wrzucę“. Zaczęła pisać. Kelner i kucharz wobec tego struchleli, bo groziła im utrata służby, jeżeli dyrekcja dowie się o ich karygodnej manipulacji. Oba stanęli przed panią, piszącą zażalenie i błagali, aby ich nie gubiła i zażalenia do skrzynki

nie wrzucała. — Pani po dłuższym czasie dała się ubłagać, ale pod warunkiem, że otrzyma bezpłatną kolację. Nie było innej rady — kelner i kucharz przynieśli jej, co w kuchni było najlepszego, a pani w Krakowie z pociągu wysiadła. Obaj winowajcy przysięgli sobie, że już nigdy sznycli w podobny sposób dzielić i zjadać nie będą — i o apetycie pań nabrali innego przekonania.

XXIX. LIST KACPRA KRUPY

WSPÓŁPRACOWNIKA "DJABŁA" z LIBAWY.

Libawa, w październiku 1920.

Wielebna Redakcjo!.

Od miasta do miasta jeżdżę za tym traktatem pokojowym, jak dziad po odpustach i obecnie jestem w Libawie, aby być obecnym przy wręczeniu dokumentów ratyfikacyjnych. Obecnym być muszę, gdyż obecność moja oddziała bardzo korzystnie na mocarstwa koalicyjne. Nawet w tej kwestji otrzymałem od Lloyda Georgeona list treści następującej:

Kochany Krupo!

W imieniu mojem i w imieniu całej koalicji polecam Ci, abyś się udał do Libawy i tam był obecny przy wręczeniu dokumentów ratyfikacyjnych. Dla Europy zrobiłeś już tyle dobrego, że mamy do Ciebie bezgraniczne zaufanie, że jak sprawy przypilnujesz, to żadne głupstwo się nie stanie, któreby mogło znów wywołać wojnę europejską lub światową. Jak tam spotkasz żyda Joffego, to się mu możesz odemnie kłaniać. Co się zaś tyczy Wilna, to Ci donoszę, że cała ta sprawa tyle mnie obchodzi, co psa piąta noga, bo ja mam tu ważniejsze sprawy do załatwienia, np. z węglem. — Nie wytykajcie nam wciąż tych spraw irlandzkich, bo to Was nic nie obchodzi, a my, chociażby wszyscy Irlandczycy urządzili głodówkę, z nimi sobie radę damy. Co się zaś tyczy Wrangla i Petlury, to jest tu nam zupełnie obojętnem, czy Wrangel i Petlura powieszą Trockiego i Lenina, czy też będzie przeciwnie, bo nam rozchodzi się przeważnie o to, aby w Rosji był spokój i byśmy z niej ciągnęli jaknajwiększe zyski. — A cóż tam słychać z waszą konstytucją? Całuję Cię Twój

Lloyd Georgeon.

Dokąd po podpisaniu i wręczeniu dokumentów ratyfikacyjnych udam się z Libawy, jeszcze nie wiem, bo będzie to zależeć od politycznej sytuacji Europy.

Sługa

Kacper Krupa

Kawaler kr kowskiej marki ewakuacyjnej Nr 19909.

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. Feljeton składany).

I. Parlamentarna szkoła śpiewu.

Nowy recenzent muzyczny przybył w osobie znanego feljetonisty i komedjopisarza p. Wł. Perzyńskiego. W jednem z pism warszawskich umieszcza on sprawozdanie z popisu klasy śpiewu prof. Klemensiewicza, który posłując w Warszawie, zajmuje się jednocześnie szerzeniem kultu sztuki wokalnej.

Popis odbywał się 21 października, w uprzejmie na ten cel użyczonej sali sejmowej.

Popis przeszedł najśmielsze oczekiwania, pomimo szczupłości programu. Z poszczególnych wykonawców w pierwszym rzędzie zwracał uwagę ks. Okoń. Jest to (jak pisze sprawozdawca) śpiewak z Bożej łaski, obdarzony uroczym głosem o wyjątkowo słodkiej barwie. Wadą jego był dotychczas fatalny nałóg śpiewania ze ściśniętą krtanią, oraz pewna nieumiejętność używania rejestrów. Wad tych ks. Okoń pozbył się zupełnie, a jeżeli popracuje dłużej nad mimiką, wówczas stanie się naprawdę pierwszorzędną siłą artystyczną i będzie mógł występować nie tylko w sejmie, ale i w kabaretach. Pan Moraczewski mniej zadowolił sprawozdawcę, ponieważ teatralne pozy i nadużywanie „mezza voce“ nie zastąpią pracy, pracy i jeszcze raz pracy. „Zbyt wysoko cenimy (słowa sprawozdawcy) talent tego artysty, aby się bawić w omówienia“. Pan Pużak, którego zaletą jest czyste atakowanie wysokich nut, powinien popracować jeszcze nad dykcją, bo nie mówi się, a więc i śpiewać nie należy: „Panowie palili c z y g a r a“, ale „cygara“. Miły sopran posiada panna Halpernówna (na afiszu niewiadomo dlaczego zrobiono z niej Moszka) — przyczem odznacza się uroczą, wysoce ujmującą powierzchownością. (Zdaje się, że sprawozdawca posiada wzrok krótki, kiedy neutralnego p. Halperna wziął za dziewicę. Przyp. red.)

Największą jednak niespodziankę sprawił wszystkim redaktor Perl. Popis jego wykazał coś więcej, niż talent i mistrzostwo szkoły, bo i potęgę natchnienia, które graniczyło z mistyczną ekstazą. Gdy kierując głos dla tajemniczego szeptu, zaśpiewał o tychże cygarach, które panowie palili, całem audytorjum wstrząsnął jakby prąd elektryczny i wszyscy zrozumieli, że te cygara były szwarcowane. W natchnionym śpiewaku zbudziły się dawne wiekowe tradycje. Sięgnął po reflektory od lampek elektrycznych i martwa zimna blacha zmieniła się w jego rękach w narzędzie muzyczne, w cymbał brzmiący. Z oczami utkwionemi w niebo, wykonał przy tym akompaniamencie swe solo. Nawet na prawicy zapanowało religijne milczenie, a marszałek Trąmbczyński ocierał łzy. Gdy śpiewak umilkł, jeszcze przez chwilę panowało milczenie na sali. Wstrząsające wrażenie tej chwili, da się określić tylko parafrazą słów wieszcza: „Wszystkim się zdawało, że to Perl śpiewał jeszcze, a to echo grało“.

Na popisie był obecny p. Heurich, kierownik ministerstwa sztuki i kultury. Sprawozdawca słyszał, że z jego inicjatywy ministerstwo zamierza wysłać redaktora Perla jako stypendystę do krajów podzwrotnikowych. „Oby to martwe ministerjum zrobiło coś raz naprawdę pożytecznego dla sztuki polskiej".

Wyszkolenie tego najlepszego dziś parlamentarnego w Europie zespołu, jest bezsprzeczną zasługą dyrygenta prof. Klemensiewicza. Nie spoczywa on na laurach, ale stara się dążyć do możliwie najwyższej doskonałości. Szkoda jedynie, że popis odbywał się w zbyt ciasnej sali sejmowej. Sprawozdawca radzi następny popis przenieść do Tworek. Sądzimy, że prof. Klemensiewicz zechce zapoznać ze swoim zespołem Lwów i Kraków — w takim razie nie wątpimy, że otworzą się dla jego drużyny sale Kulparkowa i Kobierzyna.

Sprawozdawca radzi również, aby na przyszłym występie wykonano uroczą pieśń ludową: „Ryczy Putek do Marchuta, Marchut do Dąbala", jest to bowiem jeden z tych lekkich a melodyjnych utworów, które najbardziej się nadają do chóralnego wykonania w sejmie. My proponujemy jeszcze piosenkę: „Spotkały się dwie Marysie i mówiły o tem, czem ma płacić krzykacz w sejmie, gdy nie może złotem", która to piosenka jest rozszerzeniem innej, tak popularnej o tym, „co niema złota ani miedzi..."

II. Z walk teatralnych.

Wiadomo, że trzyletnia wojna „Ill. Kurjera Codz." z dyrekcją teatru im. Słowackiego rozpoczęła się ofenzywą dra Konczyńskiego, znanego dramaturga i powieściopisarza, który pragnął zburzyć tron dra Trzcińskiego i zasiąść na jego stolicy. Po pierwszym roku wojny dyr. Trzciński zgodził się na chwilowe zawieszenie broni, przyjąwszy upokarzający warunek wystawienia „Powrotu wiosny", sztuki napisanej przez dra Konczyńskiego. Sztuka w Krakowie padła, co nie przeszkodziło niektórym krytykom pisać o niej, jako o arcydziele.

Po wyjeździe dra Konczyńskiego do Warszawy, „Kurjer" podjął walkę na nowo. Tron dyr. Trzcińskiego chciał zdobyć sam wódz naczelny „Kurjera"; szefem tego sztabu został dr. Marjan Szyjkowski. Jesteśmy w tej chwili świadkami nowej ofenzywy, która się objawia utworzeniem w obozie „Bagateli" nowego korpusu posiłkowego pod nazwą „Konserwatorjum scenicznego". Korpus ten otrzymał polecenie rozbicia dywizji „Szkoły dramatycznej", stanowiącej kadry armji gen. Trzcińskiego, zostające pod wodzą gen. Wiśniowskiego.

Zaznaczając rozpoczęcie się nowego okresu wojny, wspominamy przy sposobności, że „Powrót wiosny", wystawiony świeżo w Warszawie, oczekuje... powrót do teki autora.

„Wczoraj, w wigilję zaduszek — pisze Kornel Makuszyński w „Rzeczypospolitej" — Teatr Rozmaitości wystawił sztukę Konczyńskiego. Źle jest wystawiać sztukę w takim okresie widmowym; odrazu wszystko czuć trupem. Komedja Konczyńskiego jest — czystą komedją. „Słucham, z początku porwał mnie śmiech pusty, a potem litość i trwoga"... Rozpacz, pustka i chlorkiem wyprane banalności... Szersze omawianie tej sztuki byłoby katowskiem znęcaniem się nad jej autorem, czego uniknąć pragnę za wszelką cenę. Niech mu Bóg przebaczy, choć nie przebaczy Rozmaitościom; są to moje ostatnie o tej sztuce słowa".

A w „Kurjerze Porannym" komedjopisarz Grubiński, tak ocenia „Powrót wiosny":

„Są to igraszki niezdarne umyślnego trafu, ciągnionego za uszy i miłości naganianej papierowym kijem literackim. Siłą „Powrotu wiosny" miał być djalog... Djalog ten jednak jest skręcaniem i rozkręcaniem pustego frazesu. Ten djalog nic nie mówi — ma tylko duże pretensje... W „Powrocie wiosny" niema ludzi, są tylko cienie ludzkie, cienie mętne..."

Wreszcie p. Pieńkowski, krytyk „Gazety Warszawskiej", tak się wyraża:

„O komedji Konczyńskiego nie mogę nic dobrego powiedzieć. Autor nie posiada nerwu komicznego i scenicznego... Nie będę ostrzył dowcipu na „Powrocie wiosny", o co łatwoby się pokusić... Komedja jest chybiona całkowicie i bez ratunku. Teatr Rozmaitości nie powinien marnować czasu na tak beznadziejne utwory..."

Okropność, jacy ci krytycy warszawscy niegrzeczni. Jak można tak pisać o... arcydziele.

III. Poległym za Ojczyznę.

Nawet w tem, jak należy oddawać hołd poległym za ojczyznę, panują u nas rozmaite zapatrywania.

W Krakowie w dzień zaduszny urządzono uroczysty pochód, rozpoczęty wygłoszeniem mów, po których muzyka odegrała hymn narodowy. Na cmentarzu były cztery mowy przed pomnikiem powstańców. Potem znów odezwała się orkiestra i pochód ruszył na groby żołnierzy wszelkich narodowości, poległych w ostatniej wojnie. I na nich muzyka przygrywała.

W Warszawie tegoż dnia odprawiono w kościele garnizonowym nabożeństwo, poczem odbył się wielki pochód, który defilował przed sarkofagiem, wystawionym na cześć bohaterów w alei Trzeciego Maja. Dowództwo złożyło wieniec u stóp sarkofagu. Przez cały czas muzyka wojskowa nie grała — nie wolno też było wznosić okrzyków, ani śpiewać pieśni. W ten sposób manifestacja nabrała znamion prawdziwie żałobnej manifestacji ku czci poległych za Ojczyznę.

Który z tych sposobów oddania hołdu był odpowiedniejszy — zostawiamy ocenie czytelników.

!! SUBSKRYBUJCIE POLSKĄ POŻYCZKĘ !!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski.
Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.